Rozmaitości

Dnia 14. Grudnia Nr 50. 1839 Roku.

LUDOŻERCZYNI.

Nad brzegami rzéki Kawery, leży jedna z owych ubogich włości, które w kraju Mysory po większéj części na mil kilka od siebie są porozrzucane. Mała, od wieków zburzona, a teraz prawie całkiem chaszczami zarosła warownia, wystawała po nad rzékę, któréj mętne, opieszałe płynące nurty, podmywały mury, już w gruzy zapadłe. Jak śnieg biała czapla, i poważny, dzióbiasty żóraw', wyciągając długie swe szyje, brodziły z natężoną bacznością po grzązkich miejscach za połowem zdobyczy. Łuszczasty aligator rozciągnąwszy się na wilgotnéj, piasczystéj mieliznie, grzał się na słońcu, a sęp, zwany ptakiem braminów, rozpostarłszy swe połyskujące, ciemno-brunatne skrzydła w ukośnych promieniach zachodzącego słońca, krążył z wrzaskiem po nad sitowiem i trzciną. Stada gnuśnych bawołów, skalanych po wypłowiałych, czarnych bokach żółtym mułem, powracały wolnym krokiem z oazowego pastwiska. Od słońca ogorzały pastuszek, siedzący na grzbiecie jednego z najpowolniejszych, miał donośnym, śpiewającym głosem przemowę do powierzonéj swojéj opiece gromady, która mu pomrukiem i rykiem odpowiadała. Na wrzaskliwy, nieprzyjemny głos dzikiego, kolisty ogón na zwaliskach warowni roztaczającego pawia, odzywała się pośród gęstwi ukryta samica, a pod bujnym liściem drzewa Mongo, gruchała samotnie tęskna sinogarlica. Wampiry, wielkie niedoperze, które się przed promieniami dnia kryjąc, do obwisłych drzew banijanowych tylnemi nogami poczepiawszy, jak wiéchy zawieszone w powietrzu chwiały, gdy się zciemniło z swoich wylatywały tajników, dla wyszukania pożywienia. Włoscianie ukończywszy na polu swoję pracę, zarzuciwszy na plecy wełniane płachty, idąc w oddzielnych orszakach, pędzili przed sobą wypasłe woły i zbliżali się do swoich siedzib; w malownych grupach wracały od studzien niewiasty, z których każda trzymając z wdziękiem jedną ręką na głowie dzbanek starożytnego kształtu, drugą kosz z uzbieranemi owocami niosła. Tak spokojny, tak swobodny widok przedstawiała samotna włość podczas zapadającego zmroku.

Niekiedy zaś w te miejsca zalatuje na falach wiatru przeraźliwie wołający głos dziki, na który, nim jeszcze zamilknie, przeciwne strony echem odpowiadają. Głos ten jest myśliwskiem hasłem rębaczy w lasach Mysory, a znaczenie jego każdemu w Indyjach jest wiadome. Do wiosek Czunglów léżących nad brzegiem rzéki, uczęszczają czasami tygrysy, a jeżeli przy tych wioskach znajdują się trawą i krzewami zarosłe gruzy jakiéj warowni, natenczas prawie z pewnością tego wypadku spodziéwać się można. A kiedy który z rębaczy przed zachodem słońca z pośpiechem do wsi powracając, okropnym głosem: »hola ho!« woła, wtedy każdy jest pewny, iż krwiożerczy tygrys tuż za nim do włości się zbliża.

* * *

Słońce już było zapadło, a nadejście nocy rozścielało już po wzgórzach i dolinach mroczną oponę, gdy Rung-Row, czcigodny bramin włości, szukając do wieczornego, świętym obrzędem przykazanego obmycia, wygodnego dla siebie miejsca, prze-

chadzał się nad brzegiem rzéki. Poważném poruszeniem głowy dziękował za pokorny ukłon każdemu przechodzącemu Rajasowi, i w myślach zatopiony szedł daléj.

W miejscu, gdzie się rzéka zakręca, prawie na pięć stai od włości, znajdowała się mała, krzewiem aloesowém w około uwieńczona zatoka. Woda w tém miejscu nie była głęboka, a miękki piasek prowadził w spadzistą, czystym kryształem napełnioną kotlinę.

Pobożny czciciel Boga Wisznu, niemając na sobie szat innych, prócz bawełnianéj osłony, wszedł bez wszelkiéj zwłoki w przejrzysty strumień rzéki. Za każdym krokiem odmawiał cichym głosem świętą modlitwę, a nabrawszy w mały, miedziany kubek wody, i lejąc ją na ogoloną, olejem namaszczoną swą głowę, zaczął odbywać święty obrzęd obmycia.

Aż tu coś zaszeleściało. Ucho bramina nie usłyszało tego szelestu, bo zagłuchło od zimnéj wody, która po niém ściékała. I oczy jego były zmrużone, inaczéj byłby okropnie spostrzegł dwoje zielonych, iskrzących się ślepiów, które prawie tuż przy nim z ciemnego, aloesowego krzaka mieniącemi kolorami szyjąc, krwią jego nasycić się pragnęły. Nieszczęsny braminie, wybiła ostatnia godzina twoja! gdyż straszliwa ludożérczyni z Szykarpuru już cię wytropiła! Jéj oko wytężone w zdobycz, któréj krwie, jéj jelita łakną! Zgroźliwą mordę wyściubia ostrożnie z pomiędzy gałęzi, i pręgata potwora sunie się cicho z swojéj zasadzki. Jak długa pełza się po piasku, niecierpliwa krwawego żéru; wywija potężnie w różne strony ogonem, podsłuchuje, dyszy, strzyże uszyma, ściąga ostre wąsy, rozdziawia paszczę i kły wyszczérza! Tak pełza aż nad samę krawędź kotliny. W tém miejscu zjéża na sobie sierść, garbi się; patrzy jeszcze przez chwilę tryumfującym wzrokiem w swoję ofiarę, nagle wydaje okropny ryk, jednym skokiem rzuca się wściekle na kąpiącego, i dławi mu w gardle za razem krzyk i trwogę śmiertelną!

* * *

Walka w téj chwili była niepodobieństwem. Zjadła tygrysica jak żelaznym drągiem ugodziła go w czaszkę i aż w mózg mu ją wtłoczyła, ostrémi kłami zaś na wskróś przejęła gardło! Padł łupem śmierci w jedném oka mgnieniu. Drżące, nieżywe już ciało wisiało z jéj paszczęki, a jednak wywlokłszy je na brzég, raz jeszcze niém wstrzęsła wściekle, i głębiéj jeszcze swoje kły w nie wtłaczała.

Tak okropną śmiercią zginął już nie jeden Rajas, mieszkaniec z owéj włości; albowiem już od kilku miesięcy w tych stronach miała tygrysica swoje legowisko. Jednakże mord, który popełniała, nie czynił wielkiego wrażenia, gdyż samych tylko Sudrasów*) spotykało to nieszczęście. Lecz skoro pastuszek, który téj okropnéj przypatrywał się scenie, przybiegł do wsi z okropnym krzykiem: »*Bagh! Bagh!*«**) wołając, i oznajmił tę zgrozę: iż sroga ludożérczyni poświęcane ciało bramina na wieczerzę spożyła, zaraz całe święte bractwo z letargu się ocknęło. Niewiasty biegając po wsi, wydawały krzyki żałośne, i cała wieś zagrzmiała okropnym wrzaskiem: »*Bagh! Bagh!* ratujcie!«

Ameldar***) usłyszawszy o tym wypadku, pogrążył się przez czas niejaki w głębokim żalu, poczém posłał *Peona,* by mu przyprowadził *Burmę,* piérwszego myśliwca w całéj włości. Niedługo trwało, a już go ujrzał przed sobą pokornie stojącego i podług despotycznych zwyczajów swego kraju, niezważając, ażali słusznie lub niesłusznie, za to zelżył go ostrémi słowy, że tygrysica bramina pożarła.

Burma był jednym z najsławniejszych strzelców, nietylko we włości, ale nawet w całéj rozległéj prowincyi; spędził on wszystek wiek swój na ściganiu źwiérząt drapieżnych; ale dotychczas nigdy ze straszliwą tygrysicą z Szykarpuru spotkać się nie mógł; teraz zaś, gdy takowa święte ciało bramina pożarła, był *Burma* z całą swoją rodziną najohydniejszą i najpodlejszą istotą w oczach braminów. Ameldar rozkazał mu pod karą najsurowszéj swéj niełaski, by się postarał o głowę tygrysicy, zanim jeszcze większego nie narobi nieszczęścia.

»Będę posłusznym rozkazowi twojemu!«

---

*) Najniższa klasa Indyjan.
**) Tygrys.
***) Rodowity urzędnik prowincyi.

odrzekł z uszanowaniem Indyjanin zarzucając na plecy swą długo-rurną strzelbę, o którą dotychczas był oparty. I tak więc ten sam człowiek, który w nagrodę swéj udowodnionéj waleczności w walkach z tygrysami, ozdobiony był trzema medalami, oddalił się od zniewieściałych i lżących go braminów ani słowa nie rzekłszy.

Burma, ubogi myśliwiec, i Mansfield, angielski oficer, byli ludźmi wcale różnego stanu i stopnia, i z tego powodu Ameldar do każdego z nich zupełnie w inny sposób przemawiał. Wywarłszy wprzódy swój gniéw na swym poddanym, napisał kwiecisty list do angielskiego oficera, wykonawcy sprawiedliwości, a swego przełożonego, o którym się dowiedział, że właśnie w tym dniu do téj włości przyjechał.

Odmalowawszy smutny wypadek najżywszémi kolorami, upraszał: »aby wielki wojownik i potężny władzca, który ogromnego lwa podobnie jak drobną myszkę zdławić jest w stanie, nad podległémi swojémi niewolnikami opiekuńcze skrzydła swoje rozpostrzéć i dla oswobodzenia ich od nieszczęścia, wraz z swoim słoniem i śmiercionośną bronią do Szykarpuru przybyć raczył.« Nim jeszcze słońce na drugi dzień za góry zaszło, już Mansfield w towarzystwie swego przyjaciela Karola i wiernego Azapy pognał gościńcem do Szykarpuru.

Kurzem okryta twarz Europejczyka, którego z wielką czcią witano, odbijała mocno od śnieżnych szat, różno-barwnych turbanów i przepysznych szalów braminów, którzy go z nizkiémi pokłonami przyjmowali. Jego ubiór myśliwski, niegdyś zielony, nie miał już żadnego koloru. Jego czapka w różne kształty pogięta, ciemne spodnie i skórzane kamasze, uzupełniały cały strój tego od słońca ogorzałego myśliwca, który ciekawą otoczony gromadą mieszkańców, z powagą Donkiszota na dzielnym, szlachetnéj arabskiéj rasy rumaku do Szykarpuru wjechał. Skoro Mansfield zsiadł z konia, zaprowadzono go jakby w jakim tryjumfie do ogrodu nad brzegiem rzéki, gdzie dla niego namiot rozbito i łoże przygotowano. Słoń, który za nim z przyrządem myśliwskim przybył, orzeźwiał się w strumieniu rzéki, a poczet Kulisów przyrządzał sobie wieczerzę dla posilenia się po odbytéj podróży.

* * *

Nazajutrz nim jeszcze świtać zaczęło, już służący obudził Mansfielda z oznajmieniem, że ludzie do łowów przeznaczeni, w pogotowiu czekają. Mansfield odrzekł mu zaspanym głosem: »Osiodłać siwosza i kasztanka. Wziąć z sobą broń i amunicyją, i jechać prosto do Czungli, w miejsce, gdzie Burma wczoraj ślad zgubił. Mahut*) niech wyruszy natychmiast ze słoniem, niech w *hudahu,***) pęk rakiet umieści. Ja was dopędzę.«

Chwila pomiędzy piérwszym, słabym brzaskiem zarania, i rażącém światłem, które wschód słońca w podzwrotnikowych krajach bezpośrednio poprzedza, jest niedługa. Gdy obadwaj myśliwi dosiedli koni, już się tak mocno rozwidniło, iż dokładnie w piasku stopy słonia rozeznać mogli. Jakoż właśnie w téj chwili dopędzili wysłany orszak myśliwski, gdy się Burma ze wzgórza w széroką spuszczał dolinę, któréj świéża zieloność od płowéj i skwarem słońca wypalonéj okolicy, mocno odbijała. Przez tę dolinę ciągnął się parów, nawet śród najgorętszych upałów zupełnie niewysychający, a na końcu tego parowu, w miejscu najgęstszémi krzakami zarosłém, zléwał się strumień w kotlinę, do stawu podobną. Po téj stronie kończyły się zarazem krzaki. Po drugiéj stronie ku wzgórzom, zwężała się coraz bardziéj dolina, aż się nareszcie stała łożyskiem strumienia, który z góry spływał.

»Aż do tego miejsca szedłem wczoraj w wieczór za tropem«, rzekł Burma wskazując cztéry znamion wielkich łap, w mokrym piasku wydeptanych. Mansfield zsiadł z konia i schyliwszy się nad śladem, przypatrywał się mu przez chwil kilka z uwagą, podczas gdy krajowcy w milczeniu oczekiwali zdania jego. Poczém usiadłszy na ziemię, wszczął poważnie ze starym myśliwcem następującą rozmowę:

»Nie było jéj spieszno, gdy tędy przechodziła. Krok prędki, nie mógłby tak wyrazistego zostawić śladu.«

—»Nieinaczéj, szła zwolna podczas porannego brzasku, i przyszła tutaj, nim je-

*) Przewodnik słoniów.
**) Miejsce do siedzenia urządzone na grzbiecie słonia.

szcze słońce palić zaczęło. Już ślad dawno był wysechł, gdy go nadybałem.«

»Jestżeto zwyczajne jéj legowisko?«

—»Już nie raz szedłem za nią w to miejsce«, odrzekł stary myśliwiec. »Ale któż z pewnością powiedziéć może, gdzie wałęsająca się tygrysica jutro nocleg miéć będzie, choćbyśmy dzisiaj jeszcze ciepłe legowisko jéj znaleźli. Rzadko ona przez dwanaście godzin na jedném miejscu zostaje, a krzyk żałośny za człowiekiem, którego przeszłéj nocy pożarła, może już teraz o dziesięć mil od niéj jest oddalony. Już przeszło lat trzydzieści, jak mieszkam w Czungli, i niedaremnie lud mię tygrysobójcą zowie, ale wyznać muszę, że ta tygrysica chytrzejsza ode mnie.«

»A jednakże nikt inny, jak tylko ty sam ją ubijesz«, rzekł Mansfield, który znając dokładnie charakter narodu, postrzegł, że zwątpienie Burmy o swojéj własnéj sile, drugim odwagę odbiérało. »Tak, zaręczam, że nie kto inny, jak tylko ty ją sam pokonasz. Sen mi to przepowiedział.«

Na te słowa wypogodziła się twarz obecnych, i żaden z nich nie wątpił, że usiłowania ich pożądanym skutkiem uwieńczonémi zostaną.

—»W słowach twoich jest niezawodnie prawda«, odrzekł sędziwy Burma, musnąwszy się z dumą po białéj, długiéj brodzie«, a jeżeli przeznaczenie tego po mnie wymaga, pójdę za nią, choćby na koniec świata. Miałem jednego tylko syna, i tego mi ta przeklęta poczwara pożarła; moje przeczucie powiada mi, że i mnie ten sam los czeka. Ale dziéj się wola boża; któż może ujść przeznaczeniu swojemu!«

»Słusznie mówisz«, odrzekł Mansfield, ale tą razą za uwolnienie kraju od tego potworu, jeszcze cię jeden medal czeka; a zatém daléj do dzieła! Powiedziałeś, że ślad ze strony wschodniéj nie prowadzi w krzaki, a zatém idź i przepatrz z swémi ludźmi granicę na zachodzie, a ja tymczasem na słoniu pojadę w wąwoz za tropem; skoro zaś usłyszycie odemnie to hasło: *»halo ho!«* natychmiast umykajcie na drzewa. Ona tutaj jest niezawodnie.«

Podczas gdy piętnastu krajowców zaczęło przeglądać krzaki. Mansfield i Karol wsiedli na słonia i przepatrzywszy parów, jechali za śladem aż do skalistego gruntu, na którym go zgubili. Przekonawszy się, iż wszelkie poszukiwania były nadaremne, przyłączyli się do krajowców, którzy podobnież świéżego śladu nie znaleźli. Złożono radę, a Burma był tego zdania, że tygrysica jest niezawodnie pośród gęstwi ukryta.

Z tego powodu Mansfield rozkazał, aby każdy, wyjąwszy Azapę, który na słoniu towarzyszyć mu będzie, zajął pewne stanowisko, tak, aby wszystkie miejsca wycieczki strzeżonémi były. Jeden krajowy strzelec otrzymał rozkaz zająć stanowisko na wzgórzu, które nad całą okolicą panowało, i nie spuszczać z oka tygrysicy, jeżeliby przedrzéć się chciała.

Skoro te przygotowania poczyniono, na dany znak poważny słoń ruszył z miejsca, i zaczął sobie jakby okręt pośród fal, torować drogę pośród wiotkich gałęzi. Jednakże z wielką tylko trudnością postępował naprzód, albowiem chaszcze były bardzo gęste, a kolące rośliny w jednę masę zwikłane, czyniły wielki opór. Na tém tropieniu niejedna upłynęła godzina. Gorąco było nieznośne; słoń nie chciał iść daléj, i przewodnik jego zniecierpliwiony, zaczął przeklinać tę wyprawę; sam nawet Azapa przestał śledzić starannie. Aż oto nagle słoń zatrąbił, a na przodzie śród krzaków usłyszano szelest. Strzelcy wymierzyli broń i każdy z nich z niespokojnością wytężał wzrok na krzaki, które się poruszały. Jednakże Mansfield spuścił niezadługo spokojnie swoję strzelbę.

Jeszcze tylko jeden kąt doliny, zarosły bujną trawą i kolącym burzanem, zostawał do przejrzenia. Strudzony słoń niechętnie zwracał swoje kroki w to miejsce; aż oto zwinna małpa, która wprzódy spokojnie się przypatrywała, zaczęła nagle skakać z drzewa na drzewo i dzwoniąc zębami spoglądać w dół, gdzie pod nią wysoka kołysała się trawa.

»Widzisz?« rzekł Azapa do swego pana.

—»Poganiaj prędzéj słonia«, zawołał Mansfield grzmiącym głosem, »ona jest tu, i umknie, jeżeli nie pospieszymy.«

Roztropny słoń przeczuwał, że się w pobliżu nieprzyjaciel znajduje. Oko jego roz-

iskrzyło się, zaczął bić uszyma, i wzniosłszy trąbę do góry, iść naprzód spiesznym krokiem.

»Tu jest trop!« rzekł Azapa, wskazując na boku strumienia świeżo wydeptany ślad łapy.

—»Mamże na drugą stronę się przeprawić?« zapytał przewodzca słonia.

»A jużci! ruszaj jak najprędzéj na drugą stronę!« odrzekł Mansfield. Ona porzuciła swe legowisko. Czy słyszycie hasło?«

Podczas gdy Mansfield wyrzekł te słowa, przeraźliwa wrzawa zahuczała w oddaleniu, a razem i dzikie wrzaski strzelców słyszéć się dały. Słoń bodźcem popędzony, przeszedł potok, i pospieszał w miejsce, w którém wykrzyki: *Bagh! Bagh!* wyśledzenie tygrysicy oznajmiały. Po całéj gęstwinie rozległy się znowu dzikie wrzaski, który aż o góry echem odpowiadały. Nadaremnie ucieczce jéj zabieżéć usiłowano; w krótkim czasie dało się słyszéć znane hasło, że się przez obławę przebiła.

»Przeklęcie!« rzekł Mansfield; »umknęła w góry!« To rzekłszy, zwrócił się do swojego orszaku i przedstawił mu tę konieczność, że ją natychmiast ścigać należy. »Sto rupijów przyrzékam temu, kto jéj ślad wynajdzie i aż do jéj łożyska zaprowadzi.«

Pieniądzmi do wszystkiego krajowców nakłonić można. Znużeni i zniechęceni strzelcy usłyszawszy to przyrzeczenie, nabrali ochoty, i znowu się łowy rozpoczęły.

Ze stanowiska, w którém stracono z oka tygrysicę, rozbiegli się strzelcy po całéj okolicy, i zaczęli szukać uważném okiem śladu po ziemi, jak gdyby utraconych skarbów szukali. Niemało upłynęło czasu na tém poszukiwaniu. Aż nakoniec jeden chłopiec zatrzymawszy się na ubocznym smugu, gdzie się owce pasały, oznajmił radośnym okrzykiem, że trop wynalazł. Wszyscy pospieszyli w to miejsce i obstąpili wydeptany ślad, który istotnie był śladem tygrysim.

»Przypatrzno się Burmo temu śladowi«, rzekł Mansfield.

Doświadczony myśliwiec rzucił tylko okiem, i już się odwrócił z pogardliwą miną. »Temu śladowi już trzy dni minęło.«

Nikt nie śmiał sprzeciwić się zdaniu tak biegłego znawcy. Znowu śladu szukać zaczęto. Ale po niejakiéj chwili powtórzył sam Burma znane hasło. Stał on nad brzegiem małego strumienia. »W tém miejscu piła wodę«, rzekł, »i zapewne jeszcze nie jest daleko, gdyż słońce jeszcze nie wysuszyło wilgoci jéj śladu.«

Strzelcy puścili się za tropem w górzyste ustronie. Obnażone skały nakształt amfiteatru otaczały tę, suchym żwirem napełnioną przestrzeń. Skąpo rozrzucone rośliny, zeskwarzone były upałem słońca, a kilka schorzałych drzew daktylowych, wznosząc w niebo swoje pnie karłowate, wzmagały jeszcze bardziéj okropność téj pustyni. Okolica takowa ma w sobie coś przerażającego. Widzisz tam prawie zawsze czyste, bez obłoków niebo, łysą płaszczyznę, pozbawioną wszelkiéj zieloności, pokrajaną i porozpadaną w jary i wądoły, a słońce żarzy się nad nią, jak ognista kula z wypolerowanego metalu. Nie zobaczysz tam ani dymu, któryby cię o jakiéj samotnéj chacie oznajmił, ani ludzkiego śladu, oprócz niekiedy samotnego pastuszka kóz, który całe życie swoje w odludni przepędza.

Raz jeszcze ujrzano tygrysicę w oddaleniu, ale żadna kula dosięgnąć jéj nie mogła; zwróciła się ona ku swojemu legowisku, ku swojéj twierdzy, którą miała w rozpadlinie stroméj skały. Strzelcy starali się pospieszyć za nią, ale nie mogli znaleźć ścieżki, którąby ich w głąb sprowadzić mogła. Można było wprawdzie wynaleźć sposób, dostać się pojedyńczo do téj jaskini, lecz nieochybna śmierć czekała tego, ktoby się do tygrysicy zbliżyć odważył, dla wyparowania jéj z legowiska. Nie było innego sposobu, jak tylko rzucać w to miejsce rakiety. Jednakże i te nie przyniosły pożądanego skutku.

Wypadało więc wrócić się na dawne stanowisko. Trzy dni upłynęło na daremném poszukiwaniu. Dnia czwartego z rana, gdy Burma z swémi ludźmi zwidzał niektóre krzaki, ujrzał dwóch pastuszków pasących bawoły w dolinie, w któréj wprzódy polowano. Chłopcy ci, nie obawiali się bynajmniéj tygrysicy, wiedzieli bowiem, że w pobliżu bawołów rzucić się na nich nie odważy; od czasu zaś, jak ją z doliny wy-

płoszono, chłopcy nawet od swoich obrońców oddalać się ośmielili.

Ale biada im! źwiérz ten straszliwy, ta żmija ludożércza była tuż w poblizkości! Lazła ona od krzaku do krzaku tak po cichu, iż ją spostrzédz było niepodobna; dopiéro wtedy, gdy gorącym oddechem swoim z żarłocznéj paszczy zionęła, obejrzał się chłopiec w pobliżu stojący, a jego wylękłe oko, spotkało się z iskrzącém ślepiem tygrysicy. Przestrachem zdrętwiały, zaledwo zdołał skrzyknąć: *Bagh!* a już ziemia jękła pod okropnym rykiem potworu, i już w zębach i pazurach tygrysicy zatrzészczały młode kości chłopięcia. Drugi chłopiec umknął pędem wiatru, i ze zwinnością małpy wsunął się na drzewo. Z tamtąd przypatrywał się, jak tygrysica zarzuciwszy na grzbiet zdobycz swoję, w krzaki ją uniosła, i wściekle warcząc, pośród gęstwi zniknęła. Utraciwszy ją z oczu, spuścił się z drzewa, i pobiegł z wrzaskiem do wioski. Nieminęła godzina, a już Mansfield ruszył w pogoń z swoim orszakiem. Zaledwie przybyli na miejsce zbryzgane krwią i muzgiem nieszczęśliwego chłopca, już spostrzegli, iż bawoły pasące się wprzódy spokojnie, teraz rycząc, wyrywając racicami ziemię i parskając nozdrzami, w jeden punkt się skupiły.

»Otóż i ona!« zawołał Mansfield. »Daj mi żywo strzelbę!« Azapa podał mu spiesznie sztuciec gwintowy. Mansfield przyłożywszy wymierzył i strzelił.

Kula ugodziła. Tygrysica w oddaleniu na dwieście kroków, ryknęła straszliwie, i padła jak długa. Gdy się znowu podniosła, obwisła jéj jedna noga, i kuléjąc powlekła się w krzaki. Stary Burma nie mógł oczom swoim dać wiary, albowiem doskonała strzelba jego nigdyby tak daleko nie była sięgła. Dosiadłszy czémprędzéj słonia, pogonił za tygrysicą w jary.

Slady krwie zaprowadziły ich w gęstwinę, w któréj zraniona léżała. Podniosła łeb do góry, robiła dziko uszyma, i przestała lizać krew z gruchotanéj nogi. Mansfield ostrzegł Karola, aby się miał na pogotowiu, i w strzélaniu nie był porywczym. Burma wziął w rękę ostrą spisę, a rozsrożony słoń, dla zabezpieczenia go od napadu, podniósł w górę swą trąbę.

Karol wstrzymywał oddech w piersiach, a gdy przyłożył broń do twarzy, zdawało się, iż mu oczy z głowy na wiérzch wyskoczą.

Pod stopami słonia zatrzeszczały suche gałęzie; tygrysica wyskoczyła wściekle z chaszcza i potoczywszy roziskrzonem okiem w około siebie, wlepiła je w swoich nieprzyjaciół. Na całém jéj ciele każdy włos stanął kolcem; odetchnąwszy głęboko, i ściągnąwszy się w kupę, już chciała jednym skokiem rzucić się na swoich nieprzyjaciół.

Szybko jak łyskawica z podwójnéj strzelby Karola padły w tymże samym czasie dwa strzały a tygrysica ugodzona dwiema kulami w piersi, w tył się zachwiała. Jednakże jeszcze raz wspięła się w górę, ale kula ze strzelby Mansfielda, który w życiu swojém nigdy nie chybiał, łeb jéj strzaskała. Na ten strzał w kłąb się zwinęła, i stękając tarzała się w swojéj posoce.

Teraz można już było zwidzić jéj legowisko. Było ono pełne kości ludzkich, gdyż w ostatnich czasach samém się tylko ludzkiém ciałem żywiła. Strzelcy przerazili się tym widokiem, zwłaszcza gdy postrzegli jednę czaszkę, na któréj się jeszcze długie, jak len miękkie sploty włosów, jakiéjsić dziéwczyny znajdowały.

POŻEGNANIE.

Hojnie natury wdziękiem ubarwione,
Żegnam was żegnam gajo i doliny;
Oko me łzami tęsknoty zwilżone
Błądzi w przestrzeniach dalekiéj równiny.

Tam z mgły dalekiéj pasmo gór wyrasta,*)
Tu stérczą chaty, wieśniacze zagrody,
Bielą się domy i wieżyca miasta,**)
A tam na niwie igra stado trzody.

Nademną niebios błękitne lazury,
Słońce tli w wieńcu błogiego zarania;
W duszy méj tylko wzejszły czarne chmury,
A piers przytłoczył ciężar pożegnania.

Żegnam was żegnam, widok zmysły nęci,
Siła uroku szczęściem mię osnuła:
Wasz obraz utkwił w głębi méj pamięci,
Myśl nie wygaśnie, bo dusza uczuła! —

Ty, którą mile w tych stronach ujrzałem,
Bywaj mi zdrowa, niech cię żal mój wzruszy;
Patrząc na ciebie płakać zapomniałem,
Tyś była gwiazdą nad puszczą méj duszy!

Kto wié, czy ciebie widziéć mi dozwolą
Kiedy niebiosa w wyrokach łaskawsze!
Śmiertelnik idzie przeznaczenia wolą;
Żegnam cię, żegnam, ach! może na zawsze!

Strzałków dnia 19. września. *T. Markowski.*

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Ner. 49. i obejmuje: 1) O konsumpcyi w ogólności. 2) Sposób otrzymania 6 1/4 garncy wódki z korca kartofli. (Ciąg dalszy.) 3) O użyteczności po-

*) Karpaty.
**) Stryj.

dwójnego kołowrótka. 4) O winnéj macicy i winogronach. 5) Nowa farba niebieska do bielizny. 6) Użytek z ziarnek cytrynowych. 7) Rozmaite wiadomości: O roślinach w Afryce francuzkiéj. Malowidło Rafaela na czerepach, i t. d.

Pismo *Journal général de l'instruction publique* z miesiąca września r. b., mieści rozprawę o rękopisie sławiańskim, znajdującym się w biblijotece miasta Reims (we Francyi), znanym uczonemu światu pod imieniem: *Le texte du Sacre,* na który, jak podanie i świadectwo historyków opiéwa, przysięgali dawni królowie francuzcy, gdy ich w katedrze rejmskiéj namaszczano. Autorem téj rozprawy jest p. Jastrzębski, który ćwicząc się w królewskiéj szkole dyplomatycznéj (w Paryżu) w umiejętności czytania, rozumienia i oceniania autentycznych piśmiennych pomników historyi i literatury średnich wieków, jeździł do Reims z polecenia byłego ministra oświécenia, pana Salvandy, celem zbadania natury i ważności tego sławiańskiego rękopisu i skutki badań swoich w powyższéj zawarł rozprawie. Podług niego rękopis ten jest całkowicie sławiański i dzieli się na dwie części, z których jedna pisana własnoręcznie przez St. Prokopa, opata monasteru Suzawy w Czechach około r. 1010 — 1040; druga zaś część należy do jednego z mnichów monasteru St. Hieronima (w Pradze) założonego przez Karola IV. r. 1349. Obie części zawierają nauki na niedzielę i święta, wyjęte z Nowego Testamentu. Długi czas taka niewiadomość panowała, że rękopis ten za ormiański poczytywano; dopiéro Piotr Wielki w czasie pobytu swojego we Francyi piérwszy go za sławiański uznał. S. J.

Florian (poeta) umarł prawie z głodu, a teraz mu pomnik wznoszą; nie lepiéjże było za życia o nim pamiętać!

Portret George'a Sand. Z okoliczności najnowszego wydania wszystkich dzieł *George'a Sand* (Pani *Dudevant),* księgarz Ladvocat postarał się o wyciśnięcie wizerunku autorki. Pan Jul. Janin, którego proszono o ułożenie w téj mierze odpowiedniego godła, napisał w zręcz następujący *hexameter: »Mulier aspectu, vir pectore, carmine musa.«* (Z wejrzenia niewiasta, z uczuć mąż, z poezyi muza.)

Zbawienne działanie sióstr miłosierdzia. Wiadomo, iż zawiązanie się szlachetnego towarzystwa zakonnic obrządku Świętego Wincentego, to jest sióstr miłosierdzia, zajmujących się bezpłatnie nauczaniem płci żeńskiéj, nietylko wiary chrześcijańskiéj i innych zatrudnień pożytecznych, ale nawet pielęgnowaniem chorych w szpitalu, Francyi winni jesteśmy. Jakoż spodziéwać się można, iż ludzkość dla tych aniołów litości, niosących ulgę i pocieszenie strapionym, w każdym kraju pomniki wdzięczności wystawi. Gdy na Wschodzie, w skutek wszczynającéj się oświaty i tolerancyi, pod względem umysłowego ukształcenia także dla płci żeńskiéj, którą tamże przez długi czas w więzach niewiadomości trzymano, błysnął promień nadziei, instytut sióstr miłosierdzia w Paryżu, posłał z swojego grona w miesiącu lipcu dwie zakonnice do Konstantynopola, gdzie takowe dnia 16. sierpnia b. r. dla młodych dziéwczyn szkołę założyły. Niedługo czekano na pomyślne w téj mierze skutki, i mnóstwo młodych dzieci zgłosiło się do instytutu. Jednakże dla ułatwienia przedsięwzięcia będącego dopiéro w kolébce, i przyniesienia prawdziwego pożytku, siostry miłosierdzia, nie przyjęły z początku jak tylko 50 uczennic, i 10 siérot, którym żywność i pomieszkanie dawać się obowiązały. Pomyślny ten wypadek spowodował towarzystwo paryzkie, posłania do Lewantu pod opieką rządu dziewięciu sióstr miłosierdzia. Dwie z tych przeznaczone są do Konstantynopola, gdzie się złączą z tamtémi, które już tam zostają, a siedm osiędzie w Smyrnie. Pomiędzy témi ostatniémi są dwie młode Smyrniotki perskiego rodu, które przed półtora roku dla odbycia nowicyjatu do Paryża przybyły, a teraz z najgorliwszém poświęceniem téj missyi się podjęły.

Dagnerotyp świadkiem u sądu. Niedawnémi dniami w Paryżu toczy się proces rozwodowy, oparty na dowodzie, o jakim dotychczas nie słyszano. Niejaki pan M. miał swoję żonę w podejrzeniu, że się do niéj pewien młody człowiek zaleca. Dla uniknienia nieprzyzwoitości, nie chciał wywiadywać się w téj mierze od służących i sąsiadów, lecz stanął sobie w szopie na zasadzce, i postrzegł, iż syn jego sąsiada, każdego rana o godzinie jedynastéj chodzi z jego żoną ukradkiem pod rozłożyste drzewo, gdzie usiadłszy na ławce, swoje serdeczne uczucia jéj wynurza. Mąż nie życzył sobie mieć świadków tego widoku, jednakże potrzebował ich dla usprawiedliwienia się przed sądem. Z tego powodu kupił sobie daguerotyp za 400 franków, i umieścił w swojéj szopce *kamerę obscurę,* poczém oblokłszy jodem płytę metalową, ustawił ją następnego poranku podług przepisu, i w przeciągu dwoch minut otrzymał najwierniejszy obraz słoneczny, jako oacień swojego szczęścia. Z płytą w ręku stawił się przed sądem i podał prośbę, aby go rozwiedziono z jego małżonką. Do panów Daguerre i Arago odwołał się jako do znawców téj odwizerunkowania sztuki.

Trafiła kosa na kamień. Dziennik *»Carniola«* podług listu z Lizbony donosi: W pewnéj oberzy w Santarem, siedziało u stołu dwóch porządnie ubranych panów, którzy jeden drugiego nie znali; sądząc z ich mowy, zdawało się iż byli bogaci, szlachetnego urodzenia i dobrego wychowania. Prowadzili oni z sobą bardzo żywą rozmowę, a jeden z nich zaprosił drugiego na wieczorną przejazdkę, którą tenże z wielkiém uszanowaniem przyjął, i w oznaczonéj godzinie puścili się obadwaj gościńcem na umówione miejsce. Przyjechawszy do lasku, nagle zatrzymuje się powóz, a właściciel jego dobywszy pistoletów, zwraca się do swego gościa z prośbą, aby mu zégarek i sakiewkę swą oddał, ale oto i gość nieleniwy wyjmuje podobnież w téjże chwili pistolety, i wymierzywszy je w swego przeciwnika, grozi, że na miejscu go ubije, jeżeli mu natychmiast nie da zégarka i sakiewki z pieniądzmi. Można sobie wyobrazić, jak mocno się obadwaj ci panowie zdziwili! Nakoniec właściciel powozu rzekł: »iż go bynajmniéj ta groźba nie zastrasza, gdyż ma na koźle uzbrojonego woźnicę w pomoc.« — »I choćby was kilkaset było«, odrzekł drugi, »wszystko to nic nie pomoże; wiédz o tém, że jestem Bonza, i dosyć na tém!« — »A ja Zamontara!« — Nastąpiło nowe zdziwienie! Jakoż w saméj rzeczy, dwóch najgroźniejszych naczelników band zbójeckich, spotkało się tu w sposób godny swego rzemiosła! — Zamiast strzélania do siebie, uścisnęli się za ręce i postanowili świetnie obchodzić dzień swojego poznania; — jednakże doznali przeszkody. W mieście rozeszła się o nich pogłoska, i skoro powrócili z przejazdki, natychmiast schwytanych uwięziono.

Sławny poskromiciel źwiérząt van Amburgh, który uzbrojony tylko żelaznym drągiem, tygrysy i lwy aż do ich jaskiń ścigał, aby ich tam ułowił, rozmawiał niedawno z kapitanem Watts o indywidualności różnych źwiérząt drapieżnych. Kapitan zapytał go, jakie jest jego zdanie o wilku. »Gdy o wilkach pomyślę«, odrzekł van Amburgh, »wstydzę się prawdziwie za cały rodzaj ludzki. Wilki, są to najrozumniejsze i najłagodniejsze źwiérzęta w świecie, byle tylko z niémi obchodzić się umiano. A że ludzie tego

nie umieją, więc się ich boją. Indyjanie używają ich zamiast psów, a ja widziałem jednego wilka, który na grobie swego pana z żalu zginął.« — »A więc«, rzekł kapitan, »nie wahałbyś się stanąć pośród zgrai zgłodniałych wilków?«— »Przyznaję, iż towarzystwo to nie bardzoby dla mnie bezpieczném było«, odrzekł van Amburgh, »albowiem wilk zgłodniały nie jest w swoim naturalnym stanie i przy zupełnej przytomności swych zmysłów. Jest on wtedy wściekłym.« Kapitan zapytał znowu, »jakiéjże natury jest hyjena?« »Jestto brzydkie i obłudne źwiérzę, które zawsze tylko z tyłu na zdobycz się rzuca«, odrzekł pogromca źwiérząt; »lecz gdybym miał bezpieczne plecy, wystąpiłbym naprzeciw pięciu-dziesiąt tych bestyj fałszywych.« — Jakkolwiek van Amburgh wielkie ma upodobanie w dzikich czworo-nożnych źwiérzętach, i jakkolwiek takowe do niego mocno są przywiązane, jednakże ma on niepokonany wstręt od wszelkich płazów, a węża znieść nie może.

Swiat chce być oszukanym. Montaccini, sławny szarlatan paryzki, był młody i zacnej familii mężczyzna, który strwoniwszy w kilku latach znaczny majątek, zeszedł na żebraka i postrzegł, iż mu wypadnie albo użyć wszelkiéj przebiegłości swego rozumu, albo też umrzeć z głodu. Zostając w takim kłopocie, przemyśliwał nad środkami, które najpewniej zabezpieczają od ubóstwa, i któremiby najprędzej do fortuny przyjść można. W krótkim czasie doświadczył, że szarlatanizm jest ulubionem dzieckiem téj bogini. Z całego dawnego majątku pozostał mu tylko przebiegły służący. Montaccini przebiéra tego służącego w porządną liberyję z złotémi galonami, wsiada do pięknego powozu i rozpoczyna swój zawód, jako sławny doktor, który wszelkie słabości jedném tylko swych ócz spojrzeniem, albo dotknięciem ręki uleczyć zdoła. Atoli przekonawszy się niezadługo, iż niema tylu pacyjentów, ile jego górno-lotny jenijusz się spodziéwał, postanowił użyć silniejszych sprężyn dla dopięcia swojego celu. Opuścił Paryż, i udał się do Lugdunu, w którémto mieście ogłosił, że jest najsławniejszym doktorem w świecie, który nietylko chorych uzdrawiać, ale nawet umarłych z grobu wskrzeszać może. Dla uchylenia wszelkiéj wątpliwości w téj mierze, oświadczył, iż po upływie dni czternastu, gotów jest udać się na cmentarz, i tam wskrzesić wszystkich umarłych, choćby nawet od lat dziesięciu pochowanymi byli. Publiczność usłyszawszy to oświadczenie, oburzyła się na doktora, ale on bynajmniéj się tém nie zastraszył, i owszem upraszał magistrat, by tenże dla przekonania się, że on nie zmyśla, i przed uiszczeniem się w swojém słowie nie umknie, przed jego domem straż postawił. Odezwa ta zjednała mu powszechne zaufanie, i całe miasto zaczęło u nadzwyczajnego doktora kupować cudowny *elixier* długiego życia. Każdy spieszył do niego, każdy zasięgał od niego rady i dobrze mu płacił; tym sposobem uzbiérał sobie znaczną summę. Nakoniec zbliżał się dzień rozstrzygnienia, a służący obawiając się złego skutku dla swego pana, objawił mu w téj mierze zdanie swoje. »Mój kochany, ty nie znasz ludzi«, odrzekł szarlatan, »bądź o mnie spokojnym.« Zaledwo że do służącego wyrzekł te słowa, aż oto pewien majętny obywatel lugduński, przysłał mu list następującéj treści: »Mości doktorze! to wielkie dzieło, które wpan za dni kilka wykonać przedsięwziąłeś, nabawia mnie niespokojnością. Przed niedawnym czasem pochowałem żonę, prawdziwą jędzę, byłem z nią już dosyć nieszczęśliwym, cóż dopiero gdyby zmartwychwstała. Zaklinam przeto wpana, chciej zaniechać téj operacyi, a ja mu 50 luidorów zaliczę, jeżeli z swojéj tajemnicy żadnego użytku nie zrobisz«. Wkrótce potém zgłosiło się dwóch modnisiów, którzy jak najusilniéj go upraszali, by nie wskrzeszał zmarłego ich ojca, ponieważ tenże był wielkim skućra, a przeto gdyby wstał z grobu, stan ich byłby najnieszczęśliwszym w świecie. Ci panicze dali mu za to 50 luidorów. Zaledwo że wyszli, aż tu młoda, po starym mężu wdówka, mająca wkrótce znowu pójść za mąż, wchodzi do pokoju i wśród westchnień rzuca się do nóg cudownego doktora i z płaczem żebrze jego litości. Słowem, od rana do wieczora otrzymywał doktor listy, podarunki, odwidziny, tak dalece, iż sobie rady dać nie mógł. W całem mieście stał się rozruch powszechny; jedni z mieszkańców zdjęci byli ciekawością, a drugich ogarnęła niespokojność i trwoga do tego stopnia, iż najwyższy urzędnik magistratu udał się do cudownego doktora i w ten sposób rzecz swoję zagaił: »Magistrat miasta Lugdunu nie wątpi bynajmniéj, iż wpan na cmentarzu naszym uiścisz się w swém przerzeczeniu, to jest, że nam wskrzesisz umarłych, lecz powinnością moją jest zrobić mu tę uwagę, iż z tego powodu w mieście wszczął się rozruch powszechny, i że w przypadku, jeżeliby przedsięwzięcie wpana szczęśliwie się powiodło, we wszystkich familijach największyby nieład powstał; przeto proszę wpana, abyś zaniechał swojego przedsięwzięcia, i przez oddalenie się swoje spokojność naszemu miastu przywrócił. W dowód zaś, że uznajemy wielki talent wpana, gotów jestem dać mu własną moją ręką podpisane i pieczęcią stwierdzone świadectwo, że nietylko chorych uzdrawiać, ale nawet umarłych z grobu wskrzeszać umiesz, i że tylko my sami jesteśmy przyczyną, żeśmy téj wielkiéj i ważnéj operacyi jego nie byli naocznymi świadkami.« Jakoż poświadczenie to w saméj rzeczy wydano, poczém doktor Montaccini uzbiérawszy znaczny majątek, wyjechał z Lugdunu dla robienia po innych miastach podobnychże cudów.

Dziwny sen. W dzienniku: *Didascalia* czytamy sen następujący: »Niejakiemu panu Thornton śniło się jednej nocy na dwa zawody, iż ogrodnik kucharkę jego zabija. Thornton dwu-krotnym snem przestraszony, zapala świécę i śpieszy ku miejscu, na którém ten wypadek we śnie się mu jawił. Była właśnie czwarta godzina, księżyc jasno przyświécał, a ranek był chłodny. Dla dostania się najkrótszą drogą do ogrodu, idzie Thornton przez kuchnię i zastaje kucharkę swą w bieli, która się w czépek ubiéra i na siebie płaszcz wdziéwa, jak gdyby w podróż się wybiérała. Zapytana przyznaje się, iż idzie zaślubić się z ogrodnikiem, który na końcu ogrodu z zaprzężonym powozem na nią czeka, i ma zawieźć ją do kościoła we wsi sąsiedniéj. Thornton odrzekł, iż się bynajmniéj temu zamęźciu nie sprzeciwia, jednakże za złe jéj poczytuje tajenie się z swoim zamysłem; każe więc, aby chwilkę się zatrzymała, aż pokąd nie wróci, i z ogrodnikiem wprzód nie pomówi. Gdy przyszedł na wskazane przez kucharkę miejsce, nie zastał ani ogrodnika, ani koni, ani powozu. Poszedł więc daléj ku miejscu, które we śnie widział, i zastał tam ogrodnika tyłem ku niemu obróconego; z wielkim pośpiechem kopał on dół mający zupełne podobieństwo do grobu. Thornton przybliża się po cichu i chwyta za ramię ogrodnika, a ten obejrzawszy się, poznaje swego pana i z przestrachu mdleje. Reszty czytelnik domyśléć się może.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*